

Guillermo del Toro — Cornelia Funke

LABIRYNT FAUNA



KROCKA

Guillermo del Toro
Cornelia Funke

LABIRYNT FAUNA

Przełożyła: Paulina Zaborek

KROPKA

Spis treści

Prolog		9
Rozdział 1	Las i wróżka	11
Rozdział 2	Wszystkie oblicza zła	18
Rozdział 3	Jak myszka	25
Rozdział 4	Róża na ciemnej górze	28
Rozdział 5	Ojcowie i synowie	37
	Obietnica rzeźbiarza	45
Rozdział 6	W głąb labiryntu	51
Rozdział 7	Ostre jak brzytwa	60
Rozdział 8	Księżniczka	65
Rozdział 9	Mleko i lekarstwo	72
	Labirynt	78
Rozdział 10	Drzewo	83
Rozdział 11	Leśne istoty	87
Rozdział 12	Ropucha	90
Rozdział 13	Żona krawca	95
	Młyn, który stracił swój staw	104
Rozdział 14	Zachowaj klucz	108
Rozdział 15	Krew	112
Rozdział 16	Kołysanka	118
Rozdział 17	Brat i siostra	122
	Zegarmistrz	124
Rozdział 18	Drugie zadanie	128
Rozdział 19	Jaskinia w lesie	131

Rozdział 20	Blady Mężczyzna	136
Rozdział 21	Nie ma wyboru	149
	<i>Brzytwa i nóż</i>	153
Rozdział 22	Królestwa Śmierci i Miłości	156
Rozdział 23	Jedyny sposób na honorową śmierć	162
Rozdział 24	Dobre wieści, złe wieści	169
Rozdział 25	Tarta	174
	<i>Introligator</i>	178
Rozdział 26	Tylko dwa winogrona	184
Rozdział 27	Złamany	187
Rozdział 28	Magia nie istnieje	191
Rozdział 29	Człowiek innego pokroju	197
	<i>Zakochany Faun</i>	200
Rozdział 30	Nie skrzywdź jej	203
Rozdział 31	Kocur i myszka	209
Rozdział 32	To nic takiego	214
Rozdział 33	To tylko kobieta	219
	<i>Krawiec, który targował się ze Śmiercią</i>	229
Rozdział 34	Ostatnia szansa	233
Rozdział 35	Zraniony Wilk	238
Rozdział 36	Siostra i brat	243
	<i>Echo morderstwa</i>	247
Rozdział 37	Ostatnie zadanie	250
Rozdział 38	Imię jego ojca	258
	<i>Chłopiec, który uciekł</i>	260
Rozdział 39	Powrót księżniczki	265
Epilog	Drobne ślady	269

Dla Alfonso Fuentesesa i jego ludzi,
którzy ocalili z pożaru Woolsey mój dom, drzewa
i osły, moje wspomnienia i notatniki – C.F.

Dla K. – mojego rozwiązania wszystkich
zagadek, wyjścia z labiryntu – G.D.T.

Prolog

Mawiają, że dawno, dawno temu w podziemnej krainie, gdzie nie istniało ani kłamstwo, ani cierpienie, żyła księżniczka Moanna, która marzyła o ludzkim świecie. Śniła o idealnie błękitnym niebie i chmurach bezkresnych niczym morze, pragnęła trawy, słońca i kropli deszczu na swoich wargach.

Któregoś razu księżniczka wymknęła się strażnikom i weszła do naszego świata. Jednak Słońce wymazało jej wspomnienia, tak że nie pamiętała już, kim jest i skąd przybyła. Wędrowała po ziemskim padole, zaznając chłodu, cierpienia i chorób. A potem zmarła.

Król, jej ojciec, nie ustawał w wysiłkach, by odnaleźć córkę. Wiedział, że dusza Moanny jest nieśmiertelna, i żywił nadzieję, że pewnego dnia do niego powróci.

W innym wcieleniu, w innym czasie, może i w innym miejscu.

A on będzie czekał.

Do ostatniego tchnienia.

Po kres czasu.

Rozdział 1

Las i wróżka

Był kiedyś na północy Hiszpanii las tak stary, że mógłby opowiedzieć historie z zamierzchłych czasów, dawno zapomniane przez ludzi. Drzewa wrosły tam tak głęboko w omszałą glebę, że ich korzenie splotły się z kośćmi umarłych, gałęzie zaś sięgały gwiazd.

Tyle rzeczy zostało utraconych, szemrały liście, podczas gdy polną drogą, wdzierając się między paprocie i mech, sunęły trzy czarne auta. Ale wszystko, co utracone, może zostać odzyskane, szeptały drzewa.

Był rok 1944, a dziewczynka, która siedziała w jednym z aut, obok swojej ciężarnej matki, nie rozumiała, o czym szumią drzewa. Miała na imię Ofelia i mimo swoich zaledwie trzynastu lat doskonale знаła ból utraty. Jej ojciec zmarł przed rokiem i Ofelia tęskniła za nim tak bardzo, że czasem miała wrażenie, iż jej serce jest pustym pudełkiem, w którym odbija się echem wyłącznie jej ból. Zastanawiała się, czy matka czuje podobnie, ale w jej bladym obliczu nie potrafiła się doszukać odpowiedzi.

„Biała jak śnieg, czerwona jak krew, czarna jak węgiel” – mawiał jej ojciec, spoglądając na matkę, a w jego

głosie wybrzmiewały łagodność i czułość. „Taka jesteś do niej podobna, Ofelio”. Utracone.

Jechali już od wielu godzin, coraz dalej i dalej od wszystkiego, co знаła, coraz głębiej i głębiej w bezkresny las, na spotkanie z mężczyzną, który miał zostać nowym ojcem Ofelii. Tak zdecydowała jej matka. Dziewczynka nazywała go Wilkiem i nie miała ochoty o nim myśleć. Ale nawet drzewa zdawały się szeptać jego imię.

Jedyną częścią domu, jaką Ofelia mogła zabrać ze sobą, były niektóre z jej książek. Mocno zacisnęła palce na jednej z nich, trzymanej na kolanach, i pogładziła okładkę. Gdy otworzyła książkę, jej białe stronic stały się jasnością wśród cieni lęgnących się w lesie, słowa zapewniały schronienie i pociechę. Litery były jak ślady na śniegu w rozległym białym krajobrazie, nienaznaczonym cierpieniem, nietkniętym wspomnieniami, zbyt mrocznymi, by je zachować, i zbyt słodkimi, by pozwolić im odejść.

– Na cóż ci te wszystkie książki, Ofelio? Zamieszkamy na wsi! – Jazda samochodem sprawiła, że twarz matki stała się jeszcze bledsza niż zwykle. Jazda oraz dziecko, które nosiła w swym łonie. Wyrwała książkę z rąk Ofelii i wszystkie niosące otuchę słowa ucichły. – Za duża jesteś na bajki! Zaczynajże w końcu dostrzegać świat! – głos matki brzmiał jak popsuty dzwoneczek.

Ofelia nie pamiętała, by matka odzywała się do niej w ten sposób, gdy żył ojciec.

– Och, zajedziemy spóźnione! – westchnęła matka, przyciskając chusteczkę do warg. – Jemu to się nie spodoba.

Jemu...

Matka jęknęła, a Ofelia wychyliła się ku kierowcy i złapała go za ramię.

– Proszę się zatrzymać! – zażądała. – Nie widzi pan, że mama źle się czuje?

Silnik zakaszłał, gdy kierowca gwałtownie go przydusił. Wilki – oto, kim byli ci towarzyszący im żołnierze. Wilkami ludojadami. Jej matka zawsze utrzymywała, że bajki nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem, ale Ofelia wiedziała lepiej. To one wszystkiego ją o nim nauczyły.

Wysiadła z samochodu, podczas gdy matka, potykając się, dobrnęła do pobocza drogi, gdzie zwymiotowała w kępy paproci. Rosły gęstwiną wśród drzew, niczym ocean pierzastych liści, z którego tu i ówdzie wyłaniały się pnie pokryte szarą korą, zupełnie jak jakieś stwory wyzierające z podziemnego świata.

Dwa pozostałe auta również się zatrzymały i szare mundury wypełniły las. To nie spodobało się drzewom. Ofelia była w stanie to wyczuć. Serrano, dowódca, podszedł do matki, by sprawdzić, jak się czuje. Był wysokim, masywnym mężczyzną, który mówił zbyt donośnie, a mundur nosił jak teatralny kostium. Matka zwróciła się do niego głosikiem popsutego dzwoneczka, prosząc o wodę, a Ofelia odeszła od nich kawałek połą drogą.

Woda, szeptały drzewa. Ziemia. Słońce.

Liście paproci muskały sukienkę Ofelii niczym zielone palce, a kiedy nagle nastąpiła na duży kamień, opuściła wzrok. Był szary jak mundury oficerskie i tkwił na środku drogi, zupełnie jakby ktoś go tam porzucił. Za jej plecami matka znowu zwymiotowała. Dlaczego sprowadzanie na świat dzieci powoduje, że kobiety chorują?

Ofelia przyklęknęła i dotknęła kamienia. Czas pokrył jego powierzchnię mchem, ale gdy go przetarła, okazało się, że pod spodem jest płaski i gładki, i że wyryto na nim rysunek oka.

Ludzkiego oka.

Ofelia się rozejrzała.

W okolicy dostrzegła jedynie trzy zniszczałe kamienne kolumny, niemal niewidoczne wśród gigantycznych paproci. Szarą skałę, z której zostały niegdyś wyrzeźbione, pokrywał dziwaczny koncentryczny wzór, a na środkowej kolumnie widniało prastare, zmurszałe oblicze, zwrócone w stronę lasu. Ofelia nie potrafiła się oprzeć. Zeszła z drogi i ruszyła w kierunku kolumn, choć rosa już po kilku krokach całkiem przemoczyła jej buty, a osty wczepiły się w sukienkę.

Twarzy brakowało oka. Zupełnie jakby to była układanka, która tylko czeka, by ktoś ją wreszcie ułożył.

Ofelia zacisnęła palce na kamieniu z okiem i podeszła jeszcze bliżej.

Pod wyrzeźbionym kilkoma prostymi liniami szarym nosem rozwierały się usta, a w nich niszczące zęby.

Ofelia zatoczyła się do tyłu, gdy między nimi poruszyła się skrzydlata istota o cienkim jak gałązka odwłoku. Stworzenie skierowało ku niej długie, rozedrgane czułki. Po chwili w kamiennych ustach ukazały się odnóża i insekt, większy od dłoni Ofelii, pospiesznie wspiał się na kolumnę. Gdy dotarł na szczyt, wzniósł chude przednie odnóża i zaczął nimi przebierać w jej kierunku. Uśmiechnęła się na ten widok. Nie pamiętała, kiedy ostatnio się uśmiechała. Jej usta całkiem się od tego odzwyczaiły.

– Ktoś ty taki? – zapytała szeptem.

Insekt ponownie poruszył odnóżami i wydał z siebie kilka melodyjnych kliknięć. Może to był świerszcz. Czy tak wyglądają świerszcze? Chyba raczej ważki? Ofelia nie miała pewności. Dorastała w mieście, wśród murów, w których nikt raczej nie rzeźbił twarzy czy oczu. Ani rozwartych ust.

– Ofelio!

Stworzenie rozłożyło skrzydła. Ofelia podążyła za nim wzrokiem i przez chwilę śledziła jego lot. Matka stała kilka kroków dalej na drodze, z oficerem Serrano u boku.

– Spójrz tylko na swoje buty – skarciła ją tym słabym, zrezygnowanym głosem, który ostatnio tak często się u niej pojawiał.

Ofelia zerknęła w dół. Buty były przemoczone i pokryte błotem, ale ona wciąż czuła ślad uśmiechu na wargach.

– Chyba widziałam wróżkę! – oświadczyła.

Oczywiście. Właśnie tym było owo stworzenie. Teraz miała pewność.

Ale matka nie słuchała.

Nazywała się Carmen Cardoso, miała zaledwie trzydzieści dwa lata, a już zdążyła owdowieć i nie pamiętała, jak to jest patrzeć na coś bez pogardy czy strachu. Widziała wyłącznie świat, który odebrał jej to, co kochała, i ścierał wszystko na proch. A ponieważ kochała swoją córkę – kochała ją ogromnie – zdecydowała się na ponowne zamążpójście. Tym światem rządzą mężczyźni – Ofelia jeszcze tego nie rozumiała – i tylko mężczyzna mógł zapewnić im bezpieczeństwo. I choć o tym nie wiedziała, sama też wierzyła w bajki. Carmen Cardoso wierzyła w najgroźniejszą bajkę ze wszystkich: tę o księciu na białym koniu, który przybywa jej na ratunek.

Wiedziała o tym wszystkim skrzydlata istota czekająca na Ofelię w rozwartych ustach kamiennej rzeźby. Wiedziała naprawdę wiele, ale nie była wrózką, w każdym razie nie taką z ludzkich wyobrażeń. Jej prawdziwe imię znał tylko jej pan – w Królestwie Magii poznanie czyjegoś prawdziwego imienia wiązało się bowiem z posiadaniem władzy nad istotą, która je nosi.

Obserwowała z gałęzi jodły, jak Ofelia i jej matka wsiadają do auta, by ruszyć w dalszą podróż. Od dawna czekała na tę dziewczynkę: tę, która straciła już tak wiele i będzie musiała stracić jeszcze więcej, by ostatecznie zyskać to, co jej się należało. Wiedziała, że nie będzie łatwo pomóc temu dziecku, ale właśnie takie zadanie otrzymała od swego pana, a on bardzo surowo obchodził

się z tymi, którzy lekceważyli jego rozkazy. O tak, bardzo surowo.

Auto z matką, córką i nienarodzonym dzieckiem wjeżdżało coraz głębiej i głębiej w las. A istota nazwana przez Ofelię wróżką schowała sześć odnóży, rozpostarła skrzydła i pofrunęła za nim.

Rozdział 2

Wszystkie oblicza zła

Zło rzadko od razu nabiera realnych kształtów. Na początku jest zaledwie szeptem. Spojrzeniem. Zdradą. Ale potem się rozrasta i zapuszcza korzenie, wciąż niewidzialne, niezauważone. Tylko baśnie nadają złu właściwą postać: strasznego wilka, okrutnego władcy, demona, diabła...

Ofelia wiedziała, że mężczyzna, którego wkrótce będzie musiała nazywać ojcem, jest zły. Miał uśmiech cyklopa Ojáncanu i błakające się na dnie oczu okrucieństwo potworów Cuegle i Nuberu* – stworzeń, o których czytała w baśniach. Ale jej matka nie dostrzegała jego prawdziwego oblicza. Z wiekiem ludzie stają się ślepi i być może Carmen Cardoso nie rozpoznała wilczego uśmiešku pod przystojną twarzą kapitana Vidala i jego nienagannym ubiorem: galowym mundurem, wojskowymi butami, rękawicami. Tak bardzo pragnęła poczucia bezpieczeństwa, że żądzę krwi wzięła za władzę, a brutalność za siłę.

* Ojáncanu, Cuegle, Nuberu – postaci z folkloru hiszpańskiego, z mitologii kantabryjskiej, asturyjskiej i galicyjskiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Kapitan Vidal spojrział na swój kieszonkowy zegarek. Przez szkiełko biegła szpetna rysa, ale wskazówki nadal pokazywały upływający czas, informując, że auto przybyło z opóźnieniem.

– Piętnaście minut – warknął Vidal, który, jak wszystkie potwory i jak Śmierć, był zawsze punktualny.

Kiedy przybyły do starego młyna, który Vidal wybrał na swoją siedzibę, rzeczywiście były już spóźnione, tak jak obawiała się Carmen.

Vidal nienawidził lasu. Nienawidził wszystkiego, co nie zachowywało właściwego porządku, a drzewa były aż nazbyt chętne, by ukrywać ludzi, na których on polował. Walczyli z ciemnością, której Vidal służył i którą podziwiał. Przybył do starego lasu, by ich złamać. O tak, nowy ojciec Ofelii uwielbiał łamać wszystkich tych, których uważał za słabych, przelewać ich krew i nadawać nowy porządek ich bezwartościowemu, nędznemu życiu.

Powitał nadjeżdżające auto. Z uśmiechem.

Ale Ofelia dostrzegła pogardę w jego oczach, gdy witał je na zakurczonym podwórzu, gdzie dawno, dawno temu chłopci z okolicznych wiosek dostarczali młynarzowi swoje zboże.

Matka jednak uśmiechnęła się do niego i pozwoliła, by pogłodził ją po brzuchu, noszącym jego potomka. Nie zaprotestowała, gdy polecił jej, by usiadła na wózku inwalidzkim, jakby była zepsutą lalką.

Ofelia obserwowała to wszystko z tylnego siedzenia samochodu, gardząc perspektywą podania Wilkowi ręki,

tak jak nakazała jej matka. W końcu jednak wysiadła, aby nie zostawić jej z nim samej. Przycisnęła książki do piersi niczym tarczę z papieru i słów.

– Ofelio. – Ledwie rozchylając wąskie wargi, Wilk wychrypiał jej imię, zmieniając je w coś tak marne-go jak jej matka, po czym spojrzał znacząco na lewą rękę dziewczynki. – Witamy się drugą ręką, Ofelio – powiedział cicho. – Pamiętaj. – Nosił czarne, skórzane rękawiczki, które zaskrzypiały, gdy zamknął dłoń Ofelii w uścisku bezlitosnym niczym pułapka kłusownika. A potem odwrócił się plecami, jakby natychmiast zapomniał o jej istnieniu. – Mercedes! – zawołał do kobiety, która pomagała żołnierzom rozładować samochody. – Weź ich bagaże!

Mercedes była szczupła i blada. Miała kruczoczarne włosy i oczy niczym ciemne jeziora. Ofelia pomyślała, że wygląda jak księżniczka udająca córkę wieśniaka. Albo jak czarodziejka. Pytanie tylko: dobra czy zła. Mercedes razem z mężczyznami zaniósła walizki do młyna. Bardzo posępnego i samotnego młyna, uznała Ofelia. Miała wrażenie, że tęskni on za tym, by znowu móc mleć zboże. Teraz wypełniał go rój żołnierzy, krążących wokół zniszczonych kamiennych murów jak szarańcza. Na rozległym podwórzu wokół młyna, stajni i stodoły rozlokowano namioty i samochody ciężarowe.

Szare mundury, posępny stary młyn i las zamieszkany przez cienie... Ofelia zatęskniła za domem tak straszliwie, że przez chwilę nie mogła oddychać. Tyle że gdy zabrak-

ło ojca, nie było już domu. Poczuła, że pod powiekami wzbierają jej łzy, lecz nagle, nieopodal, między sakwami rzuconymi na stos, dostrzegła parę skrzydeł odbijających promienie słoneczne, jakby wykonano je ze szkła cienkiego niczym papier.

To była wróżka!

Zapominając o smutku, Ofelia pobiegła za nią, lecącą w stronę drzew rosnących za młynem. Istota mknęła tak szybko, że próbując za nią nadążyć, Ofelia potknęła się o własne nogi i upuściła na ziemię wszystkie książki. Kiedy je podniosła i otrzepała z brudu, zobaczyła, że wróżka przywarła do kory pobliskiego drzewa i czeka na nią.

Oczywiście, że czekała. Musiała mieć pewność, że dziewczynka za nią podąży.

Ale chwila! Nie! Ona znowu się zatrzymała.

Ofelia wpatrywała się w olbrzymi łuk, który wyłonił się spomiędzy drzew, rozpięty między dwoma sypiącymi się murami. Z łuku wystawał rogaty łeb o ustach rozwartych tak szeroko, jakby chciały połknąć świat. Oczy miał puste, a jego spojrzenie zdawało się sprawiać, że wszystko znikało: młyn, żołnierze, Wilk, nawet matka Ofelii.

„Wejdź!” – zdawały się wołać rozpadające się mury. Pod łbem wyryto jakiś napis – Ofelia go widziała, ale nie potrafiła odczytać.

In consiliis nostris fatum nostrum est – głosiły zatarte litery. W naszych wyborach leży nasze przeznaczenie.

Wróżka zniknęła, a gdy Ofelia przeszła pod łukiem, jego cień padł na jej skórę. *Odwróć się!* – ostrzegł jakiś we-

wewnętrzny głos. Ale go nie posłuchała. Czasem dobrze jest posłuchać, czasem – wręcz przeciwnie. Choć Ofelia nie czuła, by miała jakiś wybór. Stopy w zasadzie same niosły ją naprzód. Korytarz, który otwierał się tuż za łukiem, zwężał się po zaledwie kilku krokach, i to tak bardzo, że teraz mogła dotknąć rękami jego przeciwległych ścian, po prostu rozpościerając ramiona. Idąc, przesuwała dłonie po zmurszałych kamieniach. Były zaskakująco zimne, mimo upału czającego się na zewnątrz. Po kilku kolejnych krokach dotarła do zakrętu. Ciągnął się przed nią kolejny korytarz, prowadzący w lewo, a później w prawo, w kierunku następnego załomu.

– To labirynt.

Ofelia odwróciła się gwałtownie.

Za nią stała Mercedes. Szal, który otulał jej ramiona, wyglądał jak utkany z liści. Jeśli faktycznie była czarodziejką, to bardzo piękną, nie starą i zgrzybiałą jak te, o których Ofelia czytała w książkach. Ale z tych lektur wiedziała też, że czarodziejki często nie pokazują swego prawdziwego oblicza.

– To tylko stos starych kamieni – stwierdziła Mercedes. – Bardzo starych. Starszych od młyna. Te mury były tu od zawsze, na długo przed tym, nim zbudowano młyn. Nie powinnaś była tu przychodzić. Mogłaś się zgubić. To już się dawniej zdarzało. Opowiem ci kiedyś, jeśli będziesz miała ochotę posłuchać.

– Mercedes! *Capitán* cię potrzebuje! – poinformował ostry żołnierski głos gdzieś z młyna.

– Już idę! – odkrzyknęła Mercedes.

Uśmiechnęła się do Ofelii.

W tym uśmiechu czaiły się tajemnice, ale Ofelia pociągnęła Mercedes. Bardzo.

– Słyszałaś. Twój ojciec mnie potrzebuje. – Mercedes ruszyła w stronę łuku.

– On nie jest moim ojcem! – zawołała za nią Ofelia. – Nie jest nim!

Mercedes zwolniła kroku.

Ofelia podbiegła do niej i razem przeszły przez łuk, zostawiając za sobą zimne kamienie i rogatą głowę o pustych oczach.

– Mój tata był krawcem – rozszlochała się Ofelia. – Zginął na wojnie.

Znowu te łzy. Pojawiały się za każdym razem, gdy mówiła o ojcu. Nie potrafiła ich powstrzymać.

– Uszył moją sukienkę i bluzkę, którą ma na sobie mama. Szył najpiękniejsze ubrania na świecie! Piękniejsze od tych, jakie noszą księżniczki w moich książkach. Kapitan Vidal nie jest moim ojcem!

– Dałaś to bardzo wyraźnie do zrozumienia – powiedziała Mercedes, łagodnie otaczając Ofelię ramieniem. – Ale teraz chodźmy, zabiorę cię do mamy. Jestem przekonana, że już zaczęła cię szukać.

Jej ramię było ciepłe. I silne.

– Moja mama jest piękna, prawda? – szepnęła Ofelia. – Ale z powodu dziecka, które w sobie nosi, nie czuje się najlepiej. A ty masz brata?

– Owszem, mam – odparła Mercedes. – Zobaczysz, pokochasz swojego małego braciszka. I to bardzo. Nic nie będziesz mogła na to poradzić. – Kobieta znowu się uśmiechnęła. Ale w jej oczach krył się smutek.

Ofelia go dostrzegała. Najwidoczniej Mercedes też już wiele wiedziała o stracie.

Siedząca na kamiennym łuku wróżka obserwowała, jak wracają do młyna. Kobieta i dziewczyna, wiosna i lato, ramię w ramię.

Dziewczynka tu wróci. Już ona się o to postara.

Wróci bardzo szybko.

Tak szybko, jak będzie sobie tego życzył jej pan.